Rok I. Lwów, dnia 17. Listopada. 1877. Nr. 28.

Prenumerata we Lwowie.
Całoroczna . . . . . . 3 złr. 70 ct.
Półroczna . . . . . . 1 „ 82 ct.
Z przesyłką pocztową prenumerata jak na prowincyi.
Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 cnt. od wiersza drobnym drukiem

Wydawca i Redaktor:
Ksiądz Stanisław Stojałowski.

Prenumerata na prowincyi.
Całorocznie . . . . . . 4 złr.
Półrocznie . . . . . . 2 „
W cesarstwie niemieckiem . 8 marek.
Wychodzi co dwa tygodni.

Redakcya i Administracya:
Lwów ulica Piekarska Nr. 7.

PIAST

DWUTYGODNIK

poświęcony sprawie polsko-katolickiej.

In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas S. Aug | *W koniecznych zgoda, w wątpliwych swoboda, we wszystkiem miłość. S. Aug*

Głos wołającego na puszczy.

Kilkakrotnie już staliśmy się przedmiotem złośliwych uwag z tego powodu, żeśmy w obec przeciwników lub niechętnych śmiało wypowiedzieli: „przy nas jest prawda, przy nas jest Chrystus!“ Nierozum tylko lub namiętność mogły te słowa tłumaczyć w znaczeniu wykluczającem, t. j. jakobyśmy innym odmawiali wszelkiej prawdy, albo powołania się na wiarę w Chrystusa, trzymania się Chrystusa. Wszak okrom prawd ogólnych dogmatycznych, są sprawy i opinie, poza dogmatami leżące, polityczne i społeczne, w których zdania jednakowo wierzących wręcz przeciwne bywają, a tem samem tylko jedno z dwu sprzecznych na prawdzie oparte być może. W wypadkach tego rodzaju oba zdania są prawdopodobne, *probabiles*, i bez grzechu jedną lub drugą opinią obrać można. Rozstrzyga siła argumentów i stopień prawdopodobieństwa. W starciu wzajemnem zdań takich, ludzie dobrej woli walczą argumentami — ludzie zarozumiali powagą, ludzie uparci milczeniem. To ostatnie jest najsłabszym argumentem i bodaj czy nie dowodem, że prawdopodobieństwo opinii *bronionej milczeniem* jest bardzo nieprawdopodobnem.

O takiem milczeniu przeciwników Chrystusowych, niechcących uznać dowodności jego wywodów kilkakrotnie w Ewangelii czytamy. Kiedy Jan Chrzciciel dowodził, że Zbawiciel przychodzi, Synagoga i doktorowie odpowiadali mu milczeniem — i dla tego nazwał się: „głosem wołającego na puszczy.“ Kiedy Chrystus wówczas, gdy mu przyprowadzono jawnogrzesznicę, począł pisać na ziemi i powiedział: „Kto z was bez grzechu jest, niech na nią pierwszy rzuci kamień!“ uczeni w prawie i faryzeusze jeden za drugim powychodzili *w milczeniu*, niechcąc mu przyznać słuszności. I tak się działo przy każdej prawie dyspucie Chrystusowej z doktorami zakonu. — Oczywiście że takie milczenie nieosłabiało nauki i wywodów Boskiego Mistrza, ale raczej je potwierdzało.

Milczenie tedy ze strony przeciwnika, (porównujemy *fakt nie osoby*) czy ono z zarozumiałości pochodzi, czy z braku lepszego argumentu jest zawsze *dowodem prawdy*.

Mylą się przeto niektórzy, gdy sądzą, że „milczeniem zabić można.“

Zabija się milczeniem ludzi pojedynczych lub pewne fakta, ale prawdy milczeniem nikt jeszcze nie zabił, bo ona ma w sobie żywot nieśmiertelny! Można ją przygłuszyć, można jej wzrost przez pewien czas tłumić, atoli przetrwa ona te wszystkie wrogie lub nieprzyjazne żywioły, i wyjdzie na wierzch zwycięska. A jest to przywilej każdej prawdy. Bożej przedewszystkiem, a po tem każdej innej, która jest promykiem odwiecznej prawdy.

Przeto też milczenie, którem przygłuszyć zamierzyły wszystkie, krom jednego pisma, to cośmy wypowiedzieli w broszurze: „Czas i jego polityka“ wcale nas nie dziwi. Byliśmy na to przygotowani. Do onego głosu przydać możemy, bez oczekiwania odpowiedzi, jeszcze jedno zapytanie: Kto z was dowiedzie nieprawdy?

Wojna kokosza!

Wypowiedzieliśmy otwarcie, że milczenie delegacyi poczytujemy jéj za błąd polityczny. Podniósł to i „Czas“ i wszystkie pisma polskie. Z tego jednakże nie wynika, żeby delegacyi można odmawiać patryotyzmu, i mężom poważnym, wybrańcom narodu, legalnej reprezentacyi kraju zarzucać zdradę interesów polskich, i z przekroczeniem wszelkich granic przyzwoitości i uszanowania wytaczać wojnę delegacyi. Jeden błąd polityczny, choćby się już nie dał naprawić, i choćby chwila stosowna do spełnienia zaniechanego obowiązku przeminęła, jeszcze nie jest dostatecznym powodem do takich niestosownych wycieczek, jakich się winnymi stają dwa polityczne dzienniki lwowskie.

Mógł list p. Grocholskiego niezadowolić petentów, ale tylko namiętny nie widzi, że p. Grocholski w nim nie odmawia żądaniu zabrania głosu w sprawie polskiej, lecz tylko twierdzi, że trzeba czekać cierpliwie i wytrwale, a czekać, bez wątpienia, stosownej chwili i okoliczności.

I na to czekanie można się nie zgadzać; można żądać tego, aby delegacya zdążała wedle możności swojej do rozbicia

trójcesarskiej ligi, i starała się wprowadzić politykę austryacką na antimoskiewskie tory, wszakże rozum polityczny, prawdziwy patryotyzm i godność osobista, jak i godność delegacyi wymaga, aby w tej sprawie postępować z powagą i spokojem, a nie z wrzaskiem, kalumniami i zgiełkiem.

Dlatego też, chociaż polityki tak zwanej milczenia nie podzielamy, chociaż wiązanie sprawy polskiej z austryacką tylko w ten sposób rozumiemy, że Austrya zechce nas ocenić i zapragnie sama sojuszu swych interesów ze sprawą polską, a wyjdzie z błędnego koła lig cesarskich, to jednak delegacyą, jako najwyższą reprezentacyę kraju, postawioną na europejskiej widowni szanujemy, i ufamy, że najpierw polski nasz interes przedewszystkiem ma na sercu, a potem przy najpierwszej korzystnej sposobności nie zaniecha naprawić błędu.

Bo iż błędem było milczenie, już ten sam fakt przekonuje. iż dano sposobność ludziom niespokojnym do takich ekcesów, jakich z boleścią jesteśmy świadkami, i podano tymże ludziom broń, którą ze szkodę jedności i z pozorem słuszności mogą walczyć przeciw delegacyi, i podkopywać konieczną karność narodową i to uszanowanie dla władz i powag, którego tak mało wśród nas się znajduje.

Bo czyż da się zaprzeczyć, że odezwanie się delegacyi, choćby nieskuteczne, byłoby przynajmniej ten jeden wielki skutek miało, iżby się było wytrąciło z rąk naszych ultra-patryotów narzędzie agitacyj demoralizujących naród.

Rozumiemy walkę, a raczej ścieranie się zdań za pomocą argumentów, debaty i rozpraw, oraz agitacyi poważnej i spokojnej, ale wichrzenie, niepokojenie opinii postrachami przymierza rosyjskiego, sztuczne a zgiełkowne zgromadzenia wyborców, to nam przypomina analogiczny, a pamiętny w historyi naszej fakt wojny kokoszej.

Mamy właśnie przed sobą pamiętnik Stanisława Górskiego, wydany świeżo przez Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, pod tytułem: *Stanislai Górski, Conciones in maximo totius regni Poloniae conventu apud Leopolim de republica habitae. Kraków druk. Anczyca 1877* — w którym wspomniany autor opisuje cały przebieg onej kokoszej wojny.

Czytając ów pamiętnik, zdaje się zaprawdę, że jakaś jakby *klątwa* tej pierwszej wojny kokoszej zaciężyła nad naszym grodem, i za karę tego pierwszego zgorszenia, Lwów, aż do lepszych czasów, pozostanie *widownią wojen kokoszych—gniazdem kokoszników*. Na tle onego pamiętnika podamy dziś w krótkości charekterystykę ogólną tej wojny i wskażemy analogią, jaka między nią a wiecznemi awanturami, jakich Lwów jest polem popisu, sama się przez się nasuwa.

Było to w r. 1537 w miesiącach lipcu, sierpniu i wrześniu. Król Zygmunt I. chcąc przyjść w pomoc Rusi przez hospodara wołoskiego niszczonej, zwołał pospolite ruszenie na dzień 2. lipca pod Trembowlę. Sam też wśród „największych upałów lipcowych", odprawiwszy posłów niemieckich, wyruszył do Lwowa. Rycerstwo zebrało się tłumnie w niebywałej dotąd liczbie 150 tysięcy szlachty. Siła, o której mówi autor *Concionum, „ut non ad Valachiam expugnandam, sed universam Asiam occupandam sufficerent"*, iżby nietylko do Wołochów zwyciężenia, ale do zajęcia całej Azyi wystarczyła."

Tymczasem co się dzieje. Zamiast ruszyć przeciw nieprzyjacielowi, i zwrócić uwagę na to, że „nieprzyjaciel w kraju, gore Ruś, rzeczpospolita pozbawiona obrony i bez żołnierza pozostawiona,... że jęczą przyjaciele i krewni, pozbawieni żon i dzieci, i wygnani z ojczyzny" (z mowy Piotra Kmity do szlachty) rycerstwo wczyna zatargi z królem i senatem, zagłusza wrzaskiem kasztelana krakowskiego, Jana Tarnowskiego i przez dni 40 na zebraniach w czystem polu, lub w kościele Franciskańskim, bawi się w oracye, plebiscyty i petycye do króla i senatu, a w końcu odmawia nieodzownego podatku na wojnę, a dla siebie domaga się żołdu wojennego, „stipendium nobis juxta *legis praescriptum*".

Tak upłynęła pora stosowna do wojny, iż ostatecznie Zygmunt stary zmuszony był rozpuścić pospolite ruszenie bez skutku do domów.

Charakterystycznym jest opis usposobienia Lwowa w czasie tych dwu miesięcy. „Nie miała znaczenia żadna z tych rzeczy, które natura sama ludziom czyni najmilszemi, lecz żony, dzieci, majętności wszyscy lekceważyli. Nie wzruszała ich płonąca Ruś, pobańbieni ziomkowie, ani łzy i niedola prowincyi. Nie było o tem wzmianki ani mowy: o wolności, prawach, ustawach we wszystkich rozmowach wrzeszczano; w kółkach poufnych, w zebraniach, w kościołach, prywatnie i publicznie, na zgubę rzeczypospolitej narzekano. A chociaż byli tak uzbrojeni i zaopatrzeni, że równać się mogli z wszystkiemi wojskami wszystkich królów i cesarzów dawnych, tak jednak tych niezwyciężonych mężów rozżalenie wówczas zwyciężyło, że ich nie odgłos trąb budził do boju, ale do wertowania statutów i praw *budziło pienie kogutów*. Zrana nie broń ale prawa, nie lance ale statuta widziałeś niosących, biegających po mieście, zbierających sejmiki, zaczepiających senatorów, polecających im przy wstępowaniu do senatu, ojczyznę, żony, dzieci i losy swoje. Pocóż mam wspominać jak bacznem na wszelkie pogłoski było rycerstwo, w wzajemnych odwiedzinach pierwsza rzecz, o którą pytano było, co się działo w senacie, co uchwalono na zgromadzeniu, czy odebrane wolności oddano, czy ustanowienia sprzeczne z prawami zniesiono. . ."

A kończąc to opisanie i wspominając o onej wielkiej sile zbrojnej dodaje: „Ale to takie i tak wielkie wojsko, *domowemi niezgodami powstrzymane* pod Lwowem ugrzęzło, i gdy praw zwrócenia i oddania wolności żąda, przez dwa miesiące na Rusi osiada," a tymczasem Wołoszyna, sługę rzeczypospolitej „nasze uwolniły niesnaski i nasz błąd obywatelski przeciw nam uzbroił" — *„nostrae solverunt dissensiones et noster in nos civilis armavit error."*

Tak tedy zmarniało najpiękniejsze wojsko rzeczypospolitej i Wołoszyn obłowił się rabunkiem Rusi, jedynie w skutek niezgody, i że zamiast ciągnąć w pole, rycerstwo czas mitrężyło na zborach i radach i swarach. A jakiego rodzaju były te zebrania i parlamentowanie rycerstwa z senatem i królem poznać możemy z opisu pierwszego zgromadzenia, odbytego na dniu 22 sierpnia na polach pode Lwowem, około wsi Boiska (dziś Zboiska za Żółkiewską rogatką.) Zebrała się tam szlachta, przyszli i senatorowie—i rozpoczęły się rozprawy w ten sposób, iż przywódcy rokoszan: Zborowski, kasztelan małogoski, Taszycki sędzia lwowski, którego autor nazywa Nestorem swego czasu, i inni mieli długie oracye i mowy do senatu, w których swe żale i pustulata wyrażali. Na tem pierwszem zebraniu przemówił pierwszy Piotr Zborowski, a po nim mówili jeszcze: Księski, Dębiński, Sierakowski, Parczewski, Gomoliński, Taszycki; Marcin Zborowski i Odrowąż. Dziesięciu więc mowców głównych ze strony szlachty, bo innych prawdopodobnie autor pomija, mówiących jeden po drugim, w tym samym przedmiocie i na jednem zebraniu; to za-

prawdę dowodzi niezwykłego zamiłowania gadulstwa. „Czas był“ mówi autor, ażeby wreszcie senat na te oracye odpowiedział. Po krótkiej naradzie wystąpił pierwszy, kasztelan krakowski, p. Jan Tarnowski i pochwaliwszy wielką troskliwość szlachty o dobro rzeczypospolitej i jej w tej mierze jednomyślność, oświadczył, że nie czas teraz rozprawiać o takich rzeczach, gdy wróg kraj pustoszy, więc radził, aby to wszystko odłożyć do przyszłego sejmu.

„Długa to była mowa, poważna i obfita, lecz niemiłą roznamiętnionemu i nierozważnemu tłumowi“ *(furenti multitudini)* który ją często przerywał: i krzykiem a sykiem zagłuszał. Po Tarnowskiem miał mówić Piotr Kmita, ale zaledwie usta otworzył, zerwała się tak gwałtowna burza z ulewnym deszczem, że jeden drugiego ani słyszeć ani widzieć nie mógł. Korzystając z zamięszania szlachta „rozpita i słonecznym światłem rozgrzana“ *homines bibaces, ardore solis malvatico ebrii, bacchoque et odio furentes,* „na senatorów z dobytemi szablami wpadła i imiennie ich na śmierć wywoływało, a na Tarnowskiego nawet ktoś mierzył z rusznicy lecz na szczęście chybił. Senatorowie tedy dopadłszy, jakiego który mógł, konia, do miasta uciekli.

Taka jest w krótkości historya tej wyprawy, którą wojną kokoszą nazwano dla tego, że szlachta w takiej liczbie siedząc pode Lwowem, zamiast bić wroga, wybiła wszystkie kury i tak je wyniszczyła że po rozejściu się pospolitego ruszenia nigdzie koło Lwowa nikt kury nie znalazł.

Mówi bowiem Górnicki: „Ponieważ karność jeszcze nie była zaginęła, nie brano nic ludziom *tylko kokosze,* i stąd przezwisko wojny kokoszej zostało.“ Słusznie też jednak i to przypuścić możemy, że kokoszą nazwano tę wojnę dla tego, iż zamiast bić wroga, szlachta zacietrzewiona jak koguty krzykliwe, prowadziła wojnę na gęby z senatem i królem.

Dziwna zaprawdę analogia zachodzi pomiędzy tą wojną kokoszą, a dzisiejszemi tromtadracyami we Lwowie. Jak wówczas zamiast w jedności i zgodzie zgnieść wspólnego narodu wroga, trawiono czas na gadaniu, petycyonowaniu i zgromadzeniach—tak też i dziś zamiast solidarnej obrony w obec wspólnych wrogich nam żywiołów, pokładają zbawienie ojczyzny w nieskończonem gadaniu, petycyach, swarach i burzliwych zgromadzeniach.

Jak ona kłótliwa i rozpita szlachta gardłowała przeciw swoim, przeciw senatowi, Tarnowskiemu i królowi, przywłaszczając sobie *wyłączną miłość ojczyzny i troskliwość o jej dobro,* tak i dziś nie szlachta już, ale niektórzy obywatele Lwowa siebie tylko za prawdziwych poczytują patryotów i zbawiać chcą ojczyznę walcząc przeciw swoim, przeciw względnym następcom senatorów, i dziwnym zrządzeniem losu, przeciw jednemu z potomków krakowskiego kasztelana. Zaprawdę sądzić można, że potomek kasztelański w znanej chwili w ratuszu lwowskim, dziwny spokój swój czerpał w wspomnieniu Jana, w tym samym Lwowie za słowa prawdy, narażonego na utratę życia!

Jak on niesforny żywioł szlachecki mimo oczywistej potrzeby i pomimo tysiąckrotnych oświadczeń króla i senatorów, że *po to ich zwołano,* aby bić wroga, na każdem zgromadzeniu na nowo się pytał: „po co został zwołany?“ niechcąc zrozumieć co mu mówiono i przedstawiano; tak dziś co do joty kłótliwy żywioł dziennikarski po raz setny i tysiączny powtarza swe skargi, żale i oskarzenia, głuchy na wszelkie perswazye, argumenta i przedstawienia.

Jak wówczas króla, obwołano za samowładzcę i tyrana, Tarnowskiego i senatorów za nieżyczliwych dobru rzeczypospolitej, a wrzaskliwa szlachta uchodziła za jedynych prawdziwych jej obrońców i stróżów wolności—tak też i dziś dzierżący władzę w narodzie, Tarnowski i jego przyjaciele okrzyczeni jako sprzymierzeńcy tyranów, a wrzaskliwe trybuny narodu — to jedyni miłośnicy Polski i wolności!

Wreszcie jak my dzisiaj patrząc z daleka na onych kokoszników, przyznać im musimy, że rzeczywiście na niektóre rzeczy słusznie się użalali, ale mimo to, potępiamy niewczesny i szkodliwy ich ferwor i marnowanie czasu na bezowocnych hałaśliwych zebraniach wówczas, gdy rzeczpospolita zgody, jedności i obrony potrzebowała—tak dziś każdy zdrowo myślący, a kiedyś cała potomność potępi dzisiejsze awantury, sejmikowanie, petycyonowanie i t. p. a tromtadratów postawi w jednym rzędzie z kokosznikami i imiona ich przywódzców położy obok imienia Zborowskich!

Twarde to słowo — ale prawdziwe. Wdzięczność też prawdziwa należy się p. dr. W. Kętrzyńskiemu za to, że pamiętnik Górskiego w tej właśnie wydał chwili. Niech go przeczytają nasi lwowscy dziennikarze, niech go serdecznie rozważą — i kto z nich może pojąć, niech pojmuje — *Qui potest capere capiat.*

S. S.

Dziennikarstwo codzienne.

Słynny O. Ramière umieścił niedawno w francuskim „Posłańcu Serca Pana Jezusa“ artykuł pod powyższym tytułem, który choć nie we wszystkiem da się zastosować do stosunków naszego dziennikarstwa, rzuca jednak tak wielkie światło na światowładzce dziś dziennikarstwo, że nie możemy się powstrzymać od zacytywania tu niektórych ustępów cennego tego artykułu.

Przedewszystkiem podaje on ciekawą *statystykę* ruchu dziennikarskiego, wedle sprawozdawcy komisyi do zbadania stanu prasy peryodycznej ustanowionej. Sprawozdawca p. Baudon mówi:

„Mało katolików jest dokładnie obznajomionych z położeniem, w jakiem się znajduje religijne dziennikarstwo we „Francyi. — Ponieważ jest pewna liczba wybornych dzienników, co się poświęciły na obronę Kościoła: więc ludzie wyobrażają sobie, że z tej strony wszystko jest doskonałe; „a tak myśląc, nie spostrzegają prawdziwego stanu rzeczy — „A ten stan jest bardzo nieszczęśliwy! Rejestr dzienników „drukujących się w Paryżu, — rejestr wiarygodny, przed kilkoma miesiącami zrobiony, — okazuje, że w Paryżu co dnia „drukują blisko milion i czterykroćstotysięcy egzemplarzy „dzienników, rozchodzących się w Paryżu i po prowincyach — „A w tej przerażającej cyfrze, jaką część stanowią *dobre* „dzienniki? — Pięćdziesiąt i sześć tysięcy egzemplarzy!

„Resztę stanowi: milion *obrzydliwych* dzienników, i blisko trzysta czterdzieście cztery tysięcy *średnich,* to znaczy „takich: które często popełniają wielkie, mniej lub więcej „rozmyślne, błędy w naukach ważnych, — albo dopomagają „do rozpowszechniania skandalicznych historyj. —

„W tym więc olbrzymim ruchu prasy tylko półtrzecia „procentu stanowią *dobre* czasopisma. — A zresztą, *dobre* „te czasopisma w Paryżu jeszcze mniejszy mają obieg niż gdzieindziej. Prowincyonalne gazety w Paryżu prawie wcale

„nie kursują; a paryskie *katolickie gazety wszystkich odcieni* „mają, *summa summarum* zaledwo sześć tysięcy prenumera„torów, wśród ludności dwumilionowej, liczącej tysiąc i dwie„ście księży, dużo pobożnych zgromadzeń męskich i żeńskich, „dużo dobroczynnych zakładów i pobożnych ludzi. — Na do„miar nieszczęścia, żaden z *katolickich* dzienników z rana nie „wychodzi: tak więc, od godziny trzeciej po południu, aż do „dnia następnego, t. j. aż do trzeciej godziny dnia następ„nego, cały monopol depesz telegraficznych, sprawozdań sej„mowych i t. d. wyłączną jest własnością gazet złych lub „obojętnych . . ."

Stosunkowo tak samo prawie ma się rzecz i u nas, zwłaszcza we Lwowie. Owszem rzecz się ma nawet gorzej. Prasy prowincyonalnej nie mamy żadnej, a prasa stolicy codzienna jest wyłącznym monopolem złych lub obojętnych. Tygodniki lub dwutygodniki żadną miarą ani części złego, rozsiewanego przez tydzień lub nawet dwa tygodnie naprawić nie są wstanie, a wpływ „Czasu" nie sięga do wschodniej Galicyi.

To też to co dalej mówi X. Ramière o skutkach tego stanu rzeczy we Francyi, tem większe ma u nas zastosowanie:

„Cóż byśmy powiedzieli, gdybyśmy się nagle przekonali, że wiktuały dla francuskiej ludności przeznaczone, zostały zatrutemi? że woda wszystkich naszych źródeł zepsuła się w skutek jakicheś trucizn; i że tylko półtrzecia procentu wiktuałów jeszcze jest nieszkodliwych i zdrowych? Czegoż więc spodziewalibyśmy się, a czegobyśmy się obawiali ze względów sanitarnych?! —

Oto zupełnie takie jest położenie Francyi; a nawet . . . z małemi różnicami lokalnemi, takie jest położenie Europy, i nawet całego cywilizowanego społeczeństwa, pod względem codziennych „umysłowych pokarmów". — Gdy po za Paryżem „zła prasa" jest mniej złą, toć i „*dobra prasa jest może mniej dobrą*". — Mniejsza tam jest dozis najgwałtowniejszych trucizn, ale też i mniejsza ilość zdrowych pokarmów.

Prasa właściwie powinnaby być dla umysłu ludzkiego wielką pomocą do szukania i zdobywania „prawdy": prasa bowiem rozmnaża objawy „prawdy", a rozmnaża w proporcyi olbrzymiej. — A gdy ta zwykła działalność prasy pomnożoną zostanie przez liczbę dni 365, stanowiących rok: otrzymamy iloczyn działania „*dziennika*". Ale w naszych czasach działalność dziennika jest jeszcze szerszą. „Telegraf" bowiem dozwala dziennikowi dotykać równocześnie wielu, choćby najdoglejszych punktów świata, a tak, co do rozpowszechniania pewnych myśli, wcale nie podlegać prawom czasu i przestrzeni.

Zdaje się więc, że, „prawda" powinnaby szerokiem korytem płynąć w społeczeństwie tem, które zasilane przez telegrafy i dzienniki razem sprzymierzone, wie co dnia o wszystkiem co się dzieje w świecie, i ma rozwiązanie wszystkich kwestyj, zajmujących umysły ludzkie!

A cóż się dzieje w rzeczywistości? — Oto, właśnie dziennikarstwo i telegrafy służą na to, aby w kwestyach naukowych i w kwestyach faktów, publiczność była do ignorancyi doprowadzana, i „kłamstwami" karmiona!

W skutek wolności myślenia, wznawiającej co dnia najważniejsze kwestye, — i w skutek niemożliwości by wielkie masy ludu, same przez się rozwiązywały te kwestye, (bo nie mają odpowiednich a niezbędnych wiadomości) „ dziennikarstwo" stało się konieczną potrzebą publiczności.

Publiczność mimowoli czuje się zmuszoną przyjmywać takie rozwiązywania tych najważniejszych kwestyj, jakie co dnia rano otrzymuje od redaktorów, nie mających ani wolnego czasu ani odpowiednich wiadomości, ani nawet uczciwości, a przecież tych trzech rzeczy koniecznie potrzeba do należytego traktowania tak ważnych spraw!

Publiczność w każdym kraju nadaje kilkuset ludziom „prawo myślenia za innych;" a ci uprzywilejowani częstokroć nawet o samych sobie nic myślą. Takie postępywanie wydziera narodowi „prawdę", i nawet czyni go niezdolnym do rozpoznania i uchwycenia „prawdy"; nie tylko podaje umysłom zatrute pokarmy, ale nawet pozbawia je zachowawczego owego instynktu, chroniącego każdą żyjącą istotę przed rzeczami jej szkodliwemi: takie postępywanie najfatalniej sprawia ogłupienie narodu.

Niedawno temu skonstatowała ten sam fakt, ze stanowiska czysto rozumowego, angielska gazeta *Saturday rewiew*, ten najbardziej zaakredytowany organ „liberalizmu angielskiego". Następującemi słowy ogłasza on konieczność choroby duchowej osób przywykłych do codziennego czytywania dzienników: „Wskutek tego czytywania rozsądek się psuje, inicyatywa „umysłowa się osłabia, i w ogóle siły umysłowe się wyni„szczają; a natomiast przybywa zwyczaj *mechanicznego* czyta„nia, podczas gdy czytanie *intellektualną* pracą byćby miało. — „Wykształceni ludzie, tacy nawet, którzy tylko trochę ulegają „temu wpływowi, nabierają przez to nawyknień, które ze „stanowiska rozumowego, muszą być nazwane gorszemi, niż „zupełny brak czytania. Człowiek nie czytujący może myśleć; „*ale człowiek czytujący tylko dzienniki nawyka do tak ma„lutkiej działalności swego własnego umysłu*, jaka wystarcza „n. p. do ubierania się codziennego".

Ale czyż nie ma wyjątku od tego niedołęztwa, do którego dziennikarstwo doprowadza umysł w sprawie szukania „prawdy"? Czyż dziennikarstwo przynajmniej nie obznajmia nas z zadziwiającą szybkością i z niezaprzeczaną dokładnością, o wszystkich bieżących faktach? — Ach! i to nie! pospiech bowiem telegraficzny, który powinnien był dać dziennikarstwu tę szczęśliwą moc, — zrobił z niego „kłamcę"; doprowadził je do przedstawienia mylnego faktów, a częstokroć i przekręcania kwestyj prawnych.

Posłuchajmy amerykańskiego dziennika, który opisuje korzyści, jakie Ameryka odniosła z „telegrafu", który w jednej chwili łączy obydwie półkole ziemskie, morzami rozdzielone:

„Co dnia bardziej przekonywujemy się o wielkich niedo„godnościach, wynikających z teraźniejszego sposobu przesy„łania politycznych wiadomości do użytku codziennych gazet. „I tak n. p. zdarza się coś bardzo ważnego w Londynie, lub „w Paryżu, w Konstantynopolu lub w Rzymie. Tegoż samego „dnia czytamy w *gazetach wieczornych* jakiś niby - opis tego „zdarzenia. Nazajutrz rano dostajemy kilka nowych szczegó„łów, wraz z artykułem wstępnym, na prędce napisanym, „a opartym jedynie tylko na owych telegramach. Tak więc „*opinia publiczna* już się wyrobiła; a gdy po dwunastu lub „piętnastu dniach otrzymamy *przez pocztę*, zupełniejsze i praw„dziwsze wiadomości: ciekawość publiczności, dawno już za„spokojona, wcale nie zważa na to, co dla niej już jest *starą „historyą*. Taki sposób traktowania kwestyj najważniejszych „już pociągałby za sobą wiele niedogodności, gdyby nawet „telegramy nie ulegały wpływom oszustów: ależ, niestety, „bardzo często, szczególnie gdy chodzi o *Kościół katolicki* „i o *świętą Stolicę apostolską*, depesze telegraficzne tem są, „czem nie powinny być: one bowiem zatajają *prawdę*, napro-

„wadzają na mylne mniemania, i wykrzywiają te fakta, które „ogłaszają".

Twierdzenia te nader smutne udowadnia autor ciekawemi szczegółami o „biurach telegraficznych". Jak wiadomo istnieją biura telegraficzne po wielkich stołecznych miastach, które za poparciem rządów otrzymują telegrafowane wiadomości z całego świata, a następnie odprzedają je dziennikom. Jest to tedy czysta spekulacya finansowa. Posłuchajmy co o niej mówi autor:

„Organizacya biór telegraficznych, jest tego rodzaju, że musi prawie koniecznie rozsiewać kłamstwo. Czem dla Francyi jest „L'agence Havas", tem jest dla całej Europy i dla Ameryki jest agencya „Reuter", najważniejsza ze wszystkich agencyj; jej naczelnikiem jest żyd, który ją konstytuuje i dyryguje z największą zręcznością. — Może on wyświadczać rządom najważniejsze usługi; a sam nie może się obejść bez poparcia rządów: bo inaczej straciłby monopol wiadomości *politycznych*. Z tąd wynika ścisły związek między rządami, a tą „agencyą Reutera": w skutek czego publiczność tylko w pewnem świetle widzieć może wszystkie wypadki, które to światło rzadko kiedy sprzyja *prawdzie*. A ten fakt wcale nie jest przypadkowym ani odosobnionym, gdyż w tem samem smutnem położeniu znajduje się nie tylko telegraf, ale zarówno także i „peryodyczna prasa". Prasa albowiem peryodyczna, już z natury swej poddaje opinią publiczną pod jarzmo tyranii, najbardziej upokarzającej, to jest: *tyranii pieniądza!* Tej prawdy nawet nie potrzeba osobno dowodzić, bo jest znana i oczywista: — Jak agencye telegraficzne, tak samo i gazety potrzebują pieniędzy, aby mogły urodzić się i żyć; zostają więc w najzupełniejszej zawisłości od kapitalistów, którzy te gazety zakładają. Redaktorów rola bywa bardzo podrzędną; nie tylko, że nie mają redaktorowie swobody pisania po myśli swojej: ale są nawet w najwyższym stopniu interesowani, by zupełnie tak mówić i pisać, jak tego żądają owi ludzie, którzy redaktorom płacą. — Naturalna więc rzecz, że żydzi, posiagający ogromną większość kapitałów europejskich, są oraz *panami dziennikarstwa*. — Jest pewne cesarstwo europejskie, w którem prawie wszystkie gazety, — a, jak powiadają, — nawet „konserwatywne" gazety, istnieją jedynie tylko z „łaski żydów", i do pewnego stopnia ulegają żydowskim natchnieniom. Bądź co bądź, można jednak śmiało twierdzić, że w epoce dziennikarstwa „opinia publiczna", której kierownikiem jest dziennikarstwo, — *niewolnicą jest finansowych interesów, panujących nad dziennikarstwem*. — A ponieważ *finansowe interesa* wcale nie zważają na prawa „prawdy i moralności"; ponieważ tylko coraz większych zysków szukają jakimkolwiek sposobem, (choćby najobrzydliwszym); ponieważ dziennik tem większą robi furorę, a konsekwentnie tem lepiej się wypłaca swemu właścicielowi, z im większym talentem jego redaktor manipuluje *kłamstwem* i pochlebia najszkaradniejszym instyktom serc ludzkich: więc rzecz jest najturalniejsza, że *w epoce dziennikarstwa i wolności prasy*, „opinia publiczna" jest w niewoli doprowadzającej ją do zbydlęcenia. . . ."

Smutna ta niewola po części i u nas ma miejsce. Rzadkim tylko wypadkiem redaktor jest oraz właścicielem dziennika, a właściciel uczciwym człowiekiem, który szuka uczciwych redaktorów. Właściciele i redaktorowie dziennika dobierają sobie ludzi, którzyby tak pisali jak oni sobie tego życzą, a ci służąc z konieczności chleba dziennikowi, z biegiem czasu nadany kierunek tak sobie przyswajają, iż im się samym zdaje, że piszą wedle przekonań — chociaż niekiedy w zapomnieniu szczerości przyznają, że pisaliby inaczej, gdyby im *lepiej* zapłacono. D. n.

Wiara, Nadzieja i Miłość.

POWIEŚĆ Z EPOKI TERRORYZMU

z angielskiego tłumaczył X. . . .

(Ciąg dalszy).

Rozdział XLVIII.

Niewinność i pokuta.

Powróciwszy z wizyty u Mr. Sommersa, została Konstancya O. Monroe u siebie. Sędziwy kapłan cieszył się jej zaufaniem i przyjaźnią, to też odwiedziny jego dzisiejsze były miłą dla niej niespodzianką. Po krótkiem przywitaniu i zamienieniu słów kilku rzekł O. Monroe.

Znaną jest powszechnie dobroć pani z jaką niesiesz ulgę cierpiącej ludzkości i to ośmiela mnie polecić twojej pieczy pewną osobę, której życie było ciągłem pasmem krzyżów i cierpień.

— Wszystko uczynię czego żądasz odemnie ojcze; lecz któż to jest owa osoba?

— Nie jeden może wziął by mi za złe, że nią zatrudniam twoją osobę, me dziecię; bo wprawdzie cierpiała ona wiele, ale muszę pani wyznać, że i zgrzeszyła nie mało. Serce moje mówi mi jednak, że nie jest to uczynek hańbiący i niegodny Konstancyi Vernon wlewać pociechę w zbolałe serca: a taką jest osoba którą ci chcę polecić: *Madame Marie*. Niewinność, może się zetknąć z pokutą bez obawy skażenia. Powiedz mi więc pani, czy prośba moja nie przekracza granic mego ku tobie zaufania; naradzałem się w tej mierze z Księdzem L. który zgadza się ze mną że. . . .

— Ależ kochany ojcze — przerwała Konstancya — nie potrzeba na to żadnych dowodów; sprawa ta już załatwiona. Szczęśliwą się nawet czuję, jeżeli mi się nadarzy sposobność być pomocną tym, którzy cierpią na wzór naszego Zbawcy. W *Madame Marie* upatrywać będę siostrę błądzącą. Proszę cię tylko ojcze, nie zaliczaj mnie ryczałtem w poczet dobrych: gdybyś bowiem znał moje błędy, przekonałbyś się może, że *Madame Marie* daleko jest lepszą odemnie.

O. Monroe uśmiechnął się na to, nic nie odpowiadając, bo i cóż miał mówić słysząc tę piękną i czystą istotę utrzymującą z taką stanowczością, że ją do złych zaliczyć należy.

— Od jak dawna przebywa *Madame Marie* w Anglii? zapytała Konstancya.

— Od trzech dni; lecz ja dowiedziałem się o jej przybyciu dopiero dziś rano. — Bliższych szczegółów jej życia nie potrzebuję opowiadać, bo te, jeżeli się nie mylę, wiadome są pani.

— Słyszałam — odpowiedziała krótko Konstancya — ona zostaje w nędzy?

— Co się tego tyczy, to nie; przynajmniej nie dostrzegłem u niej braku niezbędnych do życia środków.

— To kiedyż zaznajomisz mię z nią ojcze?

— W każdej chwili jestem gotów.

— A więc chodźmy natychmiast; może pocieszając ją, ulżę memu strapionemu sercu.

W pierwszej zaraz chwili swego poznania *Madame Marie* i Konstancya Vernon zrozumiały się instynktownie. Serca które przebolały wiele, odznaczają się albo głębokim współczuciem, albo zamykają się w sobie, popadając w egoizm. *Madame Marie* i Konstancya uczuły odrazu, rzadką rzecz w świecie, głęboką i niekłamaną sympatyę ku sobie. Może to zdziwić niejednego, jak kobieta, która nie wahała się dla tak nędznej pobudki, jak ocalenie zhańbionego życia mieszkać pod jednym dachem z despotą, mogła być zdolną zrozumieć serce tak doskonałe i czyste Konstancyi Vernon: a jednak za pierwszem dotknięciem dziewiczej ręki, za pierwszem wejrzeniem w głąb błękitnych oczu Konstancyi, odgadła *Madame Marie*, że nowa jej przyjaciółka była „dzieckiem krzyża.“ Rozmowa ich była zajmującą. Konstancya zrozumiała, że sceny jakie przybyła w ostatnich czasach upadła hrabina, były niemiłem dla niej wspomnieniem, naprowadzała więc umyślnie rozmowę na inne przedmioty, opowiadała jej o Angli o swojej przyjaciółce Maryi Sommers, o nawróceniu przykładnem Izaaka. Żegnając się postanowiły obie w najkrótszym czasie widzieć się znowu ze sobą. — Z powrotem do domu zastała Konstancya u siebie gościa, lecz wcale niemiłego: był to jej brat wyrodny. Na widok jego zbladła, nogi chwiały się pod nią.

— Jak widzę przybycie moje nie bardzo cię zachwyca, ozwał się Vernon, marszcząc brwi i mrucząc pod nosem jakieś przekleństwo.

— Napróżno Robercie, usiłowałabym ukryć moje wzruszenie: nie nauczyłam się udawać; a jakże nie mam drżeć na myśl, że jeszcze zawsze przebywasz w Anglii.

Wstydź się! czyż to nie jest rzeczą potworną nienawidzieć jedynego z krewnych, którego się ma jeszcze na świecie?

O Robercie! ty wiesz dobrze, że to co mówisz w tej chwili nie zgadza się z prawdą.

— Ckliwość budzi we mnie twoja sentymentalno-świątobliwa gadanina. Zadałem sobie pracy, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o teraźniejszych twoich postępkach i przekonałem się ku wielkiemu memu zdziwieniu, że prowadzisz życie jakiejś zakapturzonej mniszki — siostry Miłosierdzia. Karmisz żebraków, pielęgnujesz chorych i t. p. Rozumię cię, ciągnął, krzywiąc usta pogardliwym uśmiechem — wyróżniając się w ten sposób od reszty ludzi twego stanowiska, pragniesz pozować na jakiegoś anioła dobroci. Otóż powiem ci otwarcie, że jesteś albo szaloną albo obłudnicą.

Konstancya zmierzyła brata dumnem spojrzeniem, na ustach jej drżała jakaś odpowiedź. Pomyślała sobie: „i cóż mię zmusza do słuchania cynicznych napadów niegodnego brata“? i już w tym duchu miała mu dać należytą odprawę, lecz miłość, ta wzniosła cnota cechująca jej piękny charakter, nakazująca znosić wszystko dla miłości Boga odniosła zwycięstwo; głos wewnętrzny szeptał jej: „nie nawrócisz brata twego wojując przeciw niemu tą samą bronią, której on używa przeciw tobie, pokaż mu czynem, że nie jesteś taką jaką opisał cię w bezwstydnej swej mowie.“ Konstancya nie była nigdy głuchą na głos dobrego swego anioła: z wypogodzonem obliczem i wyrazem pełnym słodyczy odpowiedziała:

— Wyrządzasz mi krzywdę, Robercie, sądząc, że jestem taką jaką mnie przedstawiłeś.

Zamiar Vernona utknął na tej odpowiedzi. Pragnął on przywieść siostrę do gniewu: nieprzewidziana jej łagodność wprawiła go w chwilowe zdumienie, lecz nie wytrąciła z niegodziwych rąk jego broni, którą zamyślał odnieść nad nią zwycięstwo.

Nie wiele mię to obchodzi, Konstancyo — odparł chłodno nie zbity z toru — czy postępki twoje potwierdzają moje o tobie mniemanie, chcę tylko wiedzieć, czy zgodziłaś się już na mój projekt opuszczenia Anglii wraz ze mną?

— Nie — odpowiedziała Konstancya tonem stanowczym.

— A ja ci przysięgam, że na to przystaniesz.

— Nigdy Robercie! jestem za młodą i nie czuję się na tyle cnotliwą, abym w towarzystwie twojem mogła być bezpieczną, nie narażając mego zbawienia. Nie, Robercie, daremne są twoje namowy; nie mogę i nie chcę.

Blada twarz Vernona, stała się o jeden stopień jeszcze bledszą; zagryzł usta, a gwałtowna namiętność zamykała mu chwilowo mowę. Konstancya stała w milczącej postawie obok niego, nieśmiejąc podnieść nań swych oczu: lękała się bowiem jego odpowiedzi.

— Przysięgam na wszystkie twoje świętości, że bez ciebie się nie wydalę. — Nastąpiło dłuższe milczenie.

To do czego pragnąłbym nakłonić cię Konstancyo—podjął na nowo wątek rozmowy — bynajmniej nie jest rzeczą tak straszną, a nawet pożądaną dla wielu kobiet. Pragnę wydać cię za mąż.

— Co, wydać mię za mąż, i za kogo? — zawołała Konstancya zdumiona; — mówiłam ci przecież Robercie, że za mąż iść nie myślę; zwłaszcza że nie ma w tej chwili istoty do której bym myślą moją zwrócić się mogła.

Oczy Roberta iskrzyły się namiętnie. Dłużej niepodobna mu było ukrywać istotnego zamiaru: oliwa musiała wreszcie wyjść na wierzch. Z utkwionem w ziemię wzrokiem aby ukryć wewnętrzne wzburzenie rzekł przytłumionym głosem:

— Przyjaciel mój De Vere kocha cię, — a ja pragnę abyś ty została jego żoną.

Konstancya słysząc to, zerwała się na równe nogi. Uszom własnym nie chciała wierzyć: bo jakkolwiek znała niegodziwość swego brata, tego jednak nie spodziewała się usłyszeć od niego. Że czychał na jej pieniądze o tem była przekonaną aż nadto, lecz żeby miał zamiar poświęcić ją towarzyszowi swego występnego życia tego nie przypuszczała nawet. Robert czuł jej surowy wzrok nad sobą, nie śmiał bowiem oczu podnieść od ziemi; żałował nawet słów wymówionych.

— Wolą ojca mego — zawołała Konstancya głosem podniesionym — dostaję w ręce moje majątek jego z dniem kiedy stanę się pełnoletnią lub pójdę za mąż. W tym ostatnim wypadku majątek przechodzi w ręce mego małżonka. Ty o tem wiesz Robercie, wspólnie więc z przyjacielem twoim spiknęliście się na to, aby takowy między siebie podzielić. Dla tej myśli nie wahasz się poświęcić mnie, wiesz bowiem, że nigdy nie byłabym szczęśliwą będąc żoną De Vere'a. Robercie nie może mi to pomieścić się w głowie, że jesteś synem ojca mego.

— Posłuchaj mię Konstancyo — odparł niegodziwiec tonem, z którego zdawała się przebijać skrucha, — nie poświęciłbym cię nigdy, o wiem to lepiej od ciebie, że byłabyś istotnie ofiarą, — lecz dla mnie nie ma innego wyjścia. Jestem całkowicie w mocy tego człowieka, a ty jedna tylko możesz mię uwolnić od niego. W jego mocy jest wysłać mię za ostatnie świata granice i łatwiej przyszłoby mu uczynić to, aniżeli panu Brereton, ten bowiem, nawet gdyby mu się udało pochwycić mię, zagrażałby imieniowi memu, lecz De Vere może pozbawić mię....

— Przestań, przestań Robercie! opuść czemprędzej mieszkanie to; jutro przyjdź po pieniądze które ci obiecałam, zostaw mię samą może tymczasem zaświta mi jakaś szczęśliwa myśl, wskazująca mi co mam uczynić ze sobą.

C. d. n.

Obrazek Trójcy Najświętszej.

Jeżeliś kiedy, czytelniku kochany, uczuł trudność dogmatu Trójcy Ś. Ś.; jeżeliś biedził się, gdy rozum zaniepokojony przez heretyckich pism wpływy, jak mur opierał się temu światłu z dogmatu płynącemu: — jeżeliś pragnął choć małego światełka, dającego zaspokojenie twej poczciwej ale bardzo skołatanej ciekawości, a tem bardziej twemu sercu, żądnemu wiedzy i wiary: przypatrz się łaskawie temu „obrazkowi,“ który ci teraz przedstawiam; a może choć w części znajdziesz to, czego szukasz. Wszak znasz osobiście kapłanów, a może i Biskupów; wszak czcisz i kochasz Ojca Świętego, choć go może nie widziałeś i może nigdy widzic nie będziesz. — Oto jest jeden z najlepszych i najdoskonalszych, oto żywy „obraz Trójcy Świętej.“ —

Naprzód, Bóg jest „Duchem“, więc „Duchowieństwo“ musi do Niego być najpodobniejsze; a „Duchowieństwo“ czyli „Kler“, to *Jedność* najzupełniejsza, jedność niepodzielna, wprawdzie nie w osobach lecz w swej *naturze*. — W każdym, choćby najbiedniejszym wiejskim kapłanie, znajduje się cała pełność władzy kapłańskiej: tak samo jak i w całem Duchowieństwie, bo chociaż sami tylko Biskupi mogą wyświęcać kapłanów i dyakonów; choć Papieżowi przynależy najwyższa władza rządzenia i sądzenia: toć przecież każdy pojedynczy kapłan ma istotną władzę kapłańską, a mianowicie zmienia Chléb i Wino w *Ciało i Krew Boga*. Ta najzupełniejsza jedność Duchowieństwa, mimo mnogości kapłańskich osobistości jest doskonałym obrazem „jedności natury Bożej“, mimo trzech Osób Bożych. A kiedy ta *mnogość w jedności* nie razi nas w Duchowieństwie: czemuż miałaby razić w Bogu?!

Sądzę, że, czytelniku kochany, sam się łatwo domyślisz, iż nawet i te *trzy boskie Osoby* i ich dziwny wzajemny stosunek zupełnie tu jest przedstawiony: — „Papież:“ to obraz Boga Ojca. Wiadomo że Bóg Ojciec jest sam ze siebie, „początek bez początku,“ (*principium sine principio*): taka też w stosunku do świata jest władza Namiestnika Bożego, czyli Papieża. On bowiem chociaż od Pana Boga otrzymał swą władzę, i jest jego widomym Zastępcą: ale na ziemi nie widzimy i nie możemy widzieć takiego człowieka, co mógłby się tém poszczycić, że ma *większą duchowną władzę* jak Papież, — lub że nie od Papieża, tylko od niego jakakolwiek *władza duchowna* pochodzi. — Tak więc można – ze względem na ludzkie stosunki — powiedzieć: władza duchowna Ojca Świętego jest „początkiem bez początku,“ *principium sine principio*. — Obraz Boga - Ojca wtedy będzie zupełnym gdy i „wieczne rodzenia Boga - Syna,“ jako też i „dwoiste pochodzenie Ducha Świętego“ na tym obrazie będzie widzialne. — I oto! wiemy, że „Biskupi,“ te żywe obrazy pana Jezusa, muszą mieć *prekonizacyą*, t. j. apostolskie potwierdzenie od Papieża, — i *jurysdykcyą*, t. j. sądową władzę, również od Papieża pochodzącą.

Tak więc ich „władza dyecezyalna“ rodzi się z „papiezkiej władzy:“ — podobnie jak Bóg - Syn rodzi się z Boga Ojca. Ale tak samo jak Bóg - Syn, pomimo swego „wiecznego rodzenia się z Ojca,“ — aby mógł być *Zbawicielem rodu ludzkiego*, musiał jeszcze „stać się człowiekiem,“ i przyjąć ludzką naturę: tak też i każdy Biskup, choć prawowicie obrany, i przez Papieża prekonizowany, całą władzą obdarzony, przecież póty nie jest rzeczywistym „Biskupem,“ póki przez *włożenie rąk jakiegoś Biskupa*, nie został konsekrowany. — Tak więc ta „konsekracya biskupia“ obrazem jest ludzkiej natury Pana Jezusa; podczas gdy owo papieskie potwierdzenie i udzielenie dyecezyalnej jurysdykcyi słusznie uważane uważane być może za obraz Boskiej natury Jezusowej, wiecznie rodzącej się z Ojca.

I niech nas nie zadziwia ten wyraz „wiecznie rodzącej się“: ile razy bowiem spełnia Biskup jakąś funkcyą na tej jurysdykcyi polegającą: tyle razy czerpie niejako z tego źródła, nie wysychającego nigdy!

A czy może *dwoiste pochodzenie Ducha świętego* nie odzwierściedliło się dokładnie w kapłaństwie? Owszem jest i tu podobieństwo doskonałe.

Duch św. pochodzi od Ojca i Syna, jakby od jednego tchnienia; a „księża“ mają swą jurysdykcyą od Papieża i od dyecezyalnego Biskupa, jakby od jednego i tego samego człowieka.

Cóż bowiem znaczy ksiądz, nieupoważniony od swego Biskupa? — jest to „schyzmatyk,“ nie mający wcale jurysdykcyi. — Cóż znaczy Biskup, nieupoważniony od Boskiego Zastępcy? — jest to znów „schyzmatyk,“ nie mający wcale jurysdykcyi: a czego ktoś sam nie ma, tego też i dać nie może.

Więc, gdy źródłem jurysdykcyi, (t. j. władzy rozgrzeszania przy spowiedzi,) jest „papiezka władza“: oczywiście widzimy podobieństwo pochodzenia Boga Ducha św. od Ojca.

A gdy źródłem samego „kapłaństwa“ jest ordynacya, czyli ten „sakrament kapłaństwa,“ dawany tylko przez Biskupów: — gdy więc i „biskupia“ godność jest drugiem źródłem, z którego kapłańska władza wypływa; i gdy tem drugiem źródłem jest właśnie, „biskupstwo,“ ten żywy obraz Syna Bożego: więc oczywiście kapłaństwo przedstawia także pochodzenie Boga Ducha Świętego od Syna.

Dalej: imię czyli tytuł „kapłan,“ (zazwyczaj dawane samym tylko *księżom*) całkiem sprawiedliwie przysługuje i *Biskupowi* i nawet *Papieżowi*; — bo przy odprawianiu mszy świętej, tej najwyższej, najlepszej i najwznioślejszej czynności duchownej, sam nawet Papież wcale się nie różni od kapłana najniższego. A jak ksiądz, Biskup i Papież, wszyscy zarówno są „kapłanami,“ pomimo że mają swój własny odrębny a dominujący tytuł: tak też Ojciec, Syn i Duch św. wszyscy zarówno są *Bogiem*, i imię to każdemu z nich się należy.

Jest więc *troistość godności* kościelnych: papiestwo, biskupstwo i kapłaństwo; jest *jedność* Duchowieństwa! A czy potrzeba jeszcze więcej? — Oto jest jeszcze krom tego w osobach, dzwigających te straszliwe ciężary kościelnych godności, jest *jedność ludzkiej natury*, mimo wielości osób; oni są „ludźmi," więc pośrednikami między „ludzkością" a „Bóstwem." — A czy to nie przypomina pana Jezusa, mającego dwie natury, Boską i ludzką?

. . . .

Przyjm, kochany czytelniku, mały ten obrazek, i patrz na niego w chwilach uderzającego niedowiarstwa, a może doświadczysz ulgi, — może się oprzesz niejednemu boleśnemu zwątpieniu!

Dr. Stanisław Morawski.

Ze świata katolickiego.

Okólnik Kardynała Simeoniego.

w sprawie nadużyć i gwałtów rządu włoskiego.

Osservatore Romano ogłasza następujący dokument, który najwymowniej dowodzi, o ile rząd włoski, nie narusza wolności Kościoła i Ojca świętego:

Dan w Watykanie 23 sierpnia 1877.

W pamiętnej alokucyi z dnia 12go marca b. r., gdy Ojciec św. niezliczone krzywdy Kościołowi i najwyższej władzy, zadane od chwili zabrania Rzymu, opłakiwał w słowach które znalazły w sercach wszystkich katolików potężny oddźwięk — należało się spodziewać, iż obecni rządcy oszczędzą najczcigodniejszemu Papieżowi dalszych utrapień. Tymczasem przeciwnie ciągle w zwykłej nienawiści postępując, w ostatnich nawet dniach czynami nie tylko świętokradzkiemi, niesprawiedliwemi, ale nadto nieprawnemi gorzko zasmucili Jego Świątobliwość, zranili również uczucie religijne Rzymian przez to, że pomniki historyczne i artystyczne zburzyli.

Do wzmiankowanych czynów należy zamknięcie kościołów św. Antoniego opata na Eskwilinie, S. Marty na placu Kolegium rzymskiego, zajęcie kaplicy połączonej z kościołem Scta Maria della Scala. Mają zamienić pierwszy kościół na szpital, drugi na koszary, kaplicę na szkołę gimnastyki. Sposób, w jaki zamysłu dokonano, był bardzo gwałtowny, i najbardziej despotyczny. — Proboszcz przy kościele św. Antoniego, który jest sukursalnym w parafii Scta Maria Maggiore, odebrał 6 sierpnia ustne uwiadomienie, że nazajutrz kościół będzie zagrabiony; w kilka godzin potem piśmienne odebrał zawiadomienie o zawieszeniu rozporządzenia, a w końcu d. 13 pomimo protestacyi ze swej strony widział opieczętowane drzwi kościoła, chociaż w kościele jeszcze N. Sakrament się znajdował.

Co do kościoła św Marty formalności jeszcze mniej zachowano. Tu dnia 13go przedstawili się bez uprzedniej zapowiedzi członkowie junty likwidacyjnej, zakazali stróżowi świeckiemu, właśnie obecnemu, przywoływać przełożonego duchownego, a potem zanim zdołał ktoś założyć protestacyą, zapieczętowali drzwi wewnętrzne, a zażądawszy od stróża kluczy, zamknęli bramę zewnętrzną.

Co się tyczy kaplicy Della Scala, zawiadomił sekretarz junty poprzednio ustnie, a rano 4 sierpnia oświadczył, że bierze w posiadanie święte miejsce i ustępuje na rzecz municypalności rzymskiej, którą jeden urzędnik reprezentował.

W taki sposób dokonano potrójnej świętokradzkiej grabieży.

Na uniewinnienie nie da się przywieść żadnego tytułu prawnego, ani nawet pozoru prawności. Nie tylko prawo Boskie i kościelne się temu sprzeciwia, ale nawet rozporządzenia prawa cywilnego w sprzeczności z niem stoją.

Jakoż w artykule 18 prawo z 7 lipca 1866 o korporacyach religijnych stanowi: „Wyjęte są od zaboru na rzecz fiskusa i od wcielenia: 1, budynki na użytek kultu przeznaczone, aby w nich zachować obrazy, statuy, nieruchomości i święte ubiory." Na mocy tego prawa zabrano klasztory św. Antoniego, świętej Marty i Della Scala, ale kościoły i ich kaplice pozostały na cel powyższy. Nie można więc zrozumieć, jakim sposobem ministeryum wbrew prawu zagarnia to, co nigdy nie podlegało konfiskacie.

W postępowaniu ustnem przy zajęciu kościoła św. Antoniego przytaczają jako przykład wywłaszczenie klasztoru, które nastąpiło na mocy dekretu królewskiego z dnia 18 sierpnia 1871, wydanego w myśl prawa z 3 lutego tegoż roku w sprawie przeniesienia stolicy rządu do Rzymu; ale łatwo zrozumieć, że nie może być mowy o wywłaszczeniu tam, gdzie rząd nigdy ani nie oznaczył, ani nie zapłacił nic za rzeczony kościół, a przecież za klasztor to się stało. Na usprawiedliwienie dwóch drugich grabieży nawet tego kruchego pozoru nie ma. Niech więc każdy osądzi słusznie oburzenie Ojca św. na widok zamienienia szanowanych miejsc na cele świeckie.

W kościele św. Antoniego proboszcz Panny Maryi Śnieżnej odprawiał nabożeństwo; parafianie przyjmowali chrest św. i inne Sakramenta, głoszono tu słowo Boże, uczono katechizmu, a od niedawna kościół służył chorym szpitalnym i Siostrom przy nim pracującym; nadto kościół jest monumentalny; jego facyata jest jedyną w swoim rodzaju tak pod względem starożytności, jak stylu, posiada w środku nawy najlepszy utwór Odazziego, na ścianach i w dwóch kaplicach w bok Ołtarza Wielkiego są slawione malowidła Piotra Parrocela, kaplica zaś św. Antoniego znakomitą architekturą się odznacza. Oprócz dwóch jedynych w swoim rodzaju starożytnych ozdób posiada obrazy Mikołaja Ciccignani, zwanego della Pomarance, a na ścianach cudowne uzdrowienia Świętego, pędzla P. B. Lombardelli, zwanego della Marca.

Kościół ś. Marty również się odznacza doborem artystycznym i tu dziennie kilka Mszy św. się odprawia, tu się odprawiają wszystkie uroczystości kościelne, wszystkie większe święta z największą świetnością, a w końcu liczne bractwo, czyli towarzystwo artystów ma prawo do kościoła. Również wychowańcy szkół wieczornych na Transtevere i inne jeszcze bractwo swoje nabożeństwa odbywają w kaplicy della Scala, której municypalność ma zamiar użyć na cel wyżej wzmiankowany. Dla uchylenia nawetułudnego pretekstu niby-to pożytku i konieczności publicznej, jaką ku usprawiedliwieniu swoich zamachów przywodzą, wystarczy rozważyć, że choć drobne uczucie uszanowania dla miejsc świętych zdecydowałby inną władzę do zaradzenia potrzebom swoim w inny sposób, a nie przez zamianę powyższych kościołów. Tak przy św. Marcie, jak św Antonim są najobszerniejsze place, które bardzo pożytecznie dadzą się użyć bądź na koszary, bądź na szpital.

Jedynie zatem wzgarda kościołów katolickich popycha rząd do nieprawnej grabieży dwóch najlepszych kościołów bez potrzeby i to w czasie, gdy świątynie protestanckie cieszą się wszelką względnością i mnożą się coraz liczniej w najludniejszych częściach Rzymu. Ani Waldensi, ani Anabaptyści, ani inni nic potrzebują się obawiać wywłaszczenia ze strony rządu.

Każdy umysł badawczy z tych zdarzeń może wywnioskować, jaki los spotka kościoły rzymskie w najbliższej przyszłości, gdy dłużej nieszczęsne prądy obecne potrwają. Obecnie nie zasłaniają bynajmniej zamysłu swojego, że pragną stopniowo zagarnąć do użytku publicznego nie tylko kościoły, konwenty, klasztory, bractwa, ale i zmniejszyć dowolnie liczbę parafii. Na początek podług tego planu zniszczyli kościoły św. Cajusa, św. Teresy i inne, a teraz znów nastąpiły świeże grabieże.

Podpisany kardynał, sekretarz stanu, nie może się uchylić od obowiązku doniesienia urzędownie Jego Ekscellencyi o tych bolesnych zdarzeniach, końcem łaskawego zakomunikowania własnemu rządowi owych zdarzeń, które wymownym są komentarzem utrzymywanego ciągle zdania, że po zagarnięciu władzy doczesnej Papież w Rzymie ma władzę duchowną i juryzdykcyą nad osobami i rzeczami świętemi nietkniętą. Zechciej Wasza Ekscellencya od piszącego nowy ten list, przyjąć zapewnienie i uczucia najwyższego poważania.

(podp.) Jan kard. Simeoni.

Rumuńska missya.

Kongregacya „Świętego krzyża i Męki Zbawiciela," czyli „Księża Passyoniści," słusznie mający szacunek u Włochów, Francuzów, Belgijczyków, Anglików i północnych Amerykanów, otrzymali przed laty missyę „rumuńską," obejmującą bułgarską dyecezyę Nikopolis, i apostolski wikaryat na Wołoszczyznie. — Passioniści wiedzieli dobrze że otrzymują pole do walki przeciw obojętności, a nawet częstokroć przeciw opozycyi samych nawet katolików; lecz nie ulękli się. Jak donoszą „sprawozdania Missyj katolickich": połączona ta dyecezya, nikopolsko — wołoska, otrzymała z tej Kongregacyj passionistowskiej, sześciu biskupów, którzy wszelkiemi siłami starali się o ustanowienie lub odnowienie kościelnej karności w tych krajach, przez ogromną liczbę najniemoralniejszych schyzmatyków zamieszkałych.

Pierwszy z pomiędzy tych sześciu biskupów, msgr. Ferreri, stał się męczennikiem swej apostolskiej gorliwości: bo zmarł na epidemią, zaraziwszy się przy gorliwem zaopatrywaniu św. Sakramentami osób chorych. Drugi biskup. msgr. Erculani, zaledwie po największych wysileniach zdołał od rządu tureckiego wybłagać pozwolenie na wybudowanie w Bułgaryi małego domku na mieszkanie dla Missyonarza. — Obok tej chaty, kazał on tajemnie wyciosać grotę, która dla większego bezpieczeństwa, otrzymała kształt stajni bułgarskiej: to była *kaplica*, tam zgromadzali się wierni na słuchanie mszy świętej, — mając tak najdoskonalszy obraz „betleemskiej stajenki Zbawiciela."

Następcą msgra. Erculaniego został msgr. Józef - Marya Molajoni, mianowany w r. 1825 biskupem nikopolskim i administratorem rumuńskim. Prace i trudy tego niezmordowanego arcypasterza przypomniały ludziom owe nadzwyczajne dzieła „pierwszych chrześcian." — Molajoni, po turecku przebrany, piechoto przebiegał stacye swych dyecezyj; sam dawał religijne pociechy rozproszonym swym owieczkom; a swemi słowami i przykładami dodawał im siły do wytrwania we wierze, pomimo ubóstwa i prześladowania. Udało mu się też w czterech wsiach, t. j. w Bellina, Oresci, Trangiwicz i Lagini, — zgromadzić Bułgarów, katolików łacińskich, rozproszonych między massą muzułmanów i schyzmatyków. Prawie nadludzkiem poświęceniem się osobistem zdołał on zgromadzić trzysta kilkadziesiąt katolików, którzy wyemigrowali z Alzacyi; i wyjednać u tureckiego rządu koncesyą na kawał ziemi, na którym założył osadę dla tych biednych emigrantów. — Swemi własnemi pieniądzmi zapłacił wszystkie długi, przez tych biedaków pozaciągane, i nawet kupił im zboża na pierwszy zasiew.

Ta osada zowie się Malkocz, i jest dziś bardzo kwitnącą; a dzięki onym staraniom biskupa Molajoniego, katolicy, mieszkańcy tej osady, pozostali wiernymi panu Bogu — Następcą tegoż był biskup, Parsi, inaugurujący nową erę. Za pozwoleniem tureckiego rządu, zbudował on obszerne kościoły zamiast dotychczasowych kapliczek, w grotach czyli jamach się kryjących. — Tak więc odtąd mogli Bułgarzy, bez obawy prześladowania bywać na uroczystych nabożeństwach. Msgr. Parsi dał pierwszy pochop do katolickiego wykształcenia Rumunów, zakładając szkołę w Bukareszcie, i wprowadzając do swych dyecezji zakon p. p. Maryawitek. — Wszystkie te dzieła były dalej prowadzone i nawet ulepszane przez jego doskonałego następcę, msgr. Pluym, mianowanego w r. 1863. — Ale dopiero msgrowi Ignacemu Paoli udało się uwieńczyć prace swych poprzedników. — Gdy on w roku 1870. przybył do dyecezyj swych, liczyły takowe tylko dziewiętnaście parafij: dziś jest ich już dwadzieścia i siedm; a liczba szkółek wzrosła ze siedmiu na dwadzieścia i dwie. Prócz tego msgr. Paoli zbudował dwa kościoły, jeden w Tulczy, drugi w Trangiwiczu, — a teraz pracuje nad zbudowaniem katedry w Bukareszcie. — Łatwo pojąć konieczną potrzebę tej katedry, wiedząc, że w tym wielkiem mieście jest już teraz dwadzieścia pięć tysięcy katolików, a jest tam tylko jeden kościół, zdolny pomieścić ledwo siedemset osób, i są dwie kapliczki, zaledwo na ich specyalny cel wystarczające. — A jednak jest w tym Bukareszcie prawie trzydzieści schyzmatyckich cerkwi, — jest jedna ogromna bożnica żydowska, i trzynaście mniejszych bożnic. Do tego boleśnego zestawienia statystycznych dat, dodajmy jeszcze i to, że, w skutek wielkiej gorliwości Missionarzy, liczba katolików bywających w kościele ogromnie zwiększyła się w tych ostatnich latach: pewno każdy łatwo uzna jak ważnem i potrzebnem jest zbudowanie tej katedry!

Msgr. Paoli nawet nie poprzestał na tych wszystkich wielkich dziełach: ale od samego początku swego arcypasterstwa zabrał się do dzieła pewnego, które uważano za najtrudniejsze. Ale msgr. Paoli nie dał się odstraszyć wątpliwościami, straszącemi jego doradców: wbrew najsmutniejszym widokom rozpoczął zaraz w roku 1870 założenie *dyecezyalnego seminarium w Bukareszcie*, aby tak przygotowywać nowych missionarzy zakonu passionistowskiego, aby z nich byli pasterze parafjalni w Bulgaryi i na Wołoszczyznie. — Dotychczas, missionarze, będąc prawie wszyscy cudzoziemcami, zmuszeni byli najwięcej czasu poświęcać na wyuczenie się różnych języków, któremi mówi ludność bułgarska i wołoska; aby więc temu zaradzić, aby nie odrywać missionarzy od apostolskich prac, trzeba w tym samym kraju o tamecznych starać się seminarzystów: oni bowiem od dzieciństwa przy-

zwyczajeni do tych wielu tamecznych języków, będą mogli zaraz po swem wyświęceniu oddać się wyłącznie tylko apostolskiem pracom.

I rzeczywiście udało się biskupowi Paoliemu przełamać największe trudności i otworzyć seminarium w Bukareszcie; koszta utrzymania tego najpożyteczniejszego zakładu opędza, „rzymska propaganda wiary" i dobroczynność katolików europejskich. — Boskiem błogosławieństwem widocznie wsparte jest to dzieło: bo już wydało czterech kapłanów missionarzy. Pierwszy z nich, O. Juliusz Heinisch, który pierwszy wstąpił do tego seminarium, dopiero ostatni wyświęconym został 8 kwietnia 1877: bo młodziutki jego wiek nie dozwolił mu wraz z kolegami otrzymać ordynacyi kapłańskiej. — Ale on nie przepróżnował roku swego — dyakonatu: bo, jako katecheta, gorliwie w szkole pracował. — Wykształcenie nabyte przez tego młodego sługę Bożego, może nam dać poznać nauki, udzielane w bukaresztskiem seminarium. X. Heinisch bowiem nie samej tylko nauce *teologii i filozofii* się poświęcił: musiał on bowiem jeszcze wyuczyć się i rozmaitych tamecznych języków, którcmi do swych owieczek będzie musiał przemawiać. — Z rodu jest on Niemcem; a teraz mówi, prócz niemieckiego języka, także po rumuńsku, po włosku, po francusku i po węgiersku. Będzie więc mógł nauczać w szkole, na ambonie i w konfessionale osoby do pięciu narodowości należące.

Podobnym sposobem kształcą się tam wszyscy seminarzyści; obecnie jest ich tam już dwudziestu siedmiu! — Łatwo pojąć, jak ogromne wydatki i ogromne kłopoty sprawia utrzymanie takiego zakładu: — zważywszy, że dla tych dwudziestu i siedmiu klerykow trzeba mieć aż dziesięciu nauczycieli; i że każdy żyjący język wykładanym tam bywa przez nauczyciela urodzonego w owym kraju, w którym panuje ten język.

Dziś nie można już wątpić o korzyści tego zakładu. Msgr. Paoli może śmiało cieszyć się tak pięknym owocem swych trudów i poświęceń. Prawdopodobnie także i szczodrobliwość katolickiej Europy dopomoże mu do uwiecznienia tego dzieła, rozpoczętego jedynie z wiarą, i z odwagą pochodzącą z wiary: a tak przyczyni się do nawrócenia całej Bułgaryi i Wołoszczyzny. — Msgr. Paoli mógłby spocząć na laurach, gdyby duch Boży nie zabraniał mu takiego spoczynku. On przeciwnie, chwili jednej nie opuszcza w której by coś mógł dobrego zrobić. I oto! wojna teraźniejsza nastręczyła mu nowe ogromne pole apostolskiej działalności. — Zrozumiał on boleśne położenie naszych biednych, biednych rodaków, Polaków, Litwinow i Rusinów, którzy zmuszeni są dźwigać „carski" mundur i ginąć dla carskiego kaprysu . . . . . zrozumiał najopłakańszy stan „katolików," którzy zmuszeni być sałdatami moskiewskiemi, — ranni, konają bez kapłana, bez możliwości spowiedzi . . . . . A choć nasz język dla tych cudzoziemskich missionarzy nie jest zrozumiały, — toć przynajmniej po francusku, lub po niemiecku, lub jakkolwiek inaczej z wieloma rozmówić się można. Ale wiadomo, że prawosławne i nihilistyczne wojsko nie dopuści kapłana Bożego do konających kolegów. Chyba „carski" rozkaz utorować zdoła drogę kapłanowi.

Msgr. Paoli udał się do samego cara z prośbą o pozwolenie: by księża katoliccy zbliżać się mogli do katolików konających . . . . . . Lecz, o zgrozo! tu dopiero doznał Paoli boleśnego zawodu: bo car nie chciał ani słyszeć o dopuszczaniu katolickich księży. Miał więc sposób przekonać się osobiście: kto jest przychylniejszym chrześcijaństwu: czy Moskal czy Turek? — Wprawdzie msgr. Paoli ani na chwilę nie wątpił, że u Turków łatwiej wyżebrać *wolność wiary*, niż u tych pseudo - chrześcijańskich „prawosławnych": ale takiego zawodu, takiej bezczelności nie spodziewał się. . . . Za wieczną zgubę dusz żołnierzy, car odpowie przed Bogiem.

ODEZWA
do redaktorów katolickich.

Unità cattolica podniosła piękną nader myśl proszenia Ojca św., aby św. Franciszka Salezego, Doktora Kościoła raczył ogłosić patronem redaktorów katolickich. Wiec kat. w Bergamo pochwalił tę myśl i poparł. Rzeczywiście też wybór jest nad wyraz trafny i pouczający. Św. Salezy jak wiadomo należy do najdzielniejszych pogromców nieprzyjaciół Kościoła, a oraz jest wzorem niezrównanej łagodności i miłości, która stanowi właściwy i wyłączny rys jego charakteru.

Słuszna i potrzebna, aby do tej prośby przyłączyły i polskie katolickie redakcye, a to tem bardziej, im więcej nam potrzeba dzielności i łagodności.

Redakcya *Wieńca*, *Pszczółki* i *Piasta* ukła adres do Ojca św. w tej sprawie i uprzejmie zaprasza współkolegów na całej polskiej ziemi, aby tak w redakcyi jak i w wysłaniu adresu udział wziąść zechcieli.

Lwów dnia 17. listopada 1877.

X. Stanisław Stojałowski. Stanisław Otwinowski.
Dr. Stanisław Morawski.

Przegląd dziennikarstwa galicyjskiego.

Zaciętość polemiki doszła swojego zenitu — nikt na włos ustąpić nie chce, i przeto nic dziwnego, że jedna i druga strona grzeszy przesadą, która zamiast sprowadzać porozumienie, tylko bardziej rozognia spory, a tonu umiarkowania i przyzwoitości na darmobyś szukał tak w *Czasie* i innych konserwatnych dziennikach, jak też i u lwowskich dziennikarzy.

Czas na obronę swoją ściąga powagi, i jak pobić chciał dziennikarzy lwowskich w sprawie swej polityki listem p. dr. Szujskiego, tak powagę swoją i kierunek wzmocnić usiłował *ucztą polityczną* w rocznicę trzydziestoletniej rocznicy założenia swego.

Nie będziemy powtarzać, że długoletnią pracę i zachowawcze zasady *Czasu* szanujemy, i w rocznicę 30letniego istnienia przesyłaliśmy mu w duchu szczere i z naszej strony wyrazy uznania i życzenia — atoli nic odwołujemy też tego cośmy już niejednokrotnie *Czasowi* wytknęli. Jako weteran może on nie słuchać młodszych kolegów — ale im słuszności odmówić nie zdoła— a i to dosyć dla nas.

Czas w jednym z ostatnich swoich numerów powiada, iż wyrobił on „szkołę" publicystów. Nie przeczymy, ale ludzie z tej szkoły mają typ pewien, wielce ujmujący powadzo tej szkoły. Ze szkoły „Czasu" jest on kronikarz ze Lwowa, który wystawę lwowską nazwał awanturą i t. p. *Czas* uczniowi zawierzył i podkopał swój wpływ we Lwowie, bo go dziś w żadnym publicznym lokalu nie znajdzie. Nie spodziewaliśmy się, że się tak prędko nasze przewidywanie spełni!

Ze szkoły, jeśli nie z samej redakcyi *Czasu* jest korespondent krakowski do *Kuryera pozn.*, którego relacye cechuje ra-

żąca stronniczość, a ostatnia korespondencja w N. 260 tchnie wielką namiętnością. Pisząc tam bowiem o wyborze p. K. Ujej. na posła woła: „Smutno pochyla się głowa nad dolą biednego kraju, który znów popada pod *kierownictwo szaleńców* połączonych *z opryszkami politycznymi (!)*“ P. Ujejski politykiem nie jest — to wiedzą wszyscy, ale zaliczać go do szaleńców, to dopiero prawdziwa *ekscentryczność*.

W końcu *Czas* odwołując brednie swego kronikarza o wystawie lwowskiej dał prawdziwie dowód szlachetności, w jakiej mu dotąd nie dorównały inne dzienniki, które jeszcze ani razu żadnego z swych z najbezecniejszych oszczerstw nie odwołały. W tem odwołaniu mówi *Czas*, że ludność Lwowa nie identyfikuje z *dziennikami lwowskimi*. Byłoby to możliwem, gdyby oprócz istniejących były inne dzienniki we Lwowie, silnie poparte. Dziś, acz rzeczywiście taka identyfikacya nie byłaby prawdziwą; przecież nie można sądzić, że będzie możliwem przywrócić harmonią obu stolic, jak długo nie będzie jakiego takiego porozumienia między dziennikami.

* * *

Gazeta Narodowa obecnie prawdziwie na *Czas* czatuje. Chwyta skrzętnie każde słowo, które da się użyć przeciw *Czasowi* i czy słusznie czy niesłusznie, uderza na *Czas* cytatami z *Czasu*.

W ten sposób podchwyciła toast p. Stanisl. Tarnowskiego na uczcie „Czasowej“ i zacytowała go dosłownie, dodając: tak mówił p. Tarnowski! Że mówił on dobrze i rozsądnie, poznają czytelnicy z cytatu, który i my dosłownie podajemy:

„Powiedziano tu przed chwilą, że naszym organicznym defektem był za dawnych czasów brak krajowego rządu. Prawda, mieliśmy zawsze jakąś wrodzoną a fatalną skłonność do podejrzywania i oskarżania wszystkiego co powinno było być naszym rządem a stać się nim nie mogło; mieliśmy tylko niechęć i zazdrość dla wszystkiego co było lub powinno było być zwierzchnością i władzą. W czasach porozbiorowych usposobienie to naturalnym porządkiem rzeczy wzmogło się tak, że w każdym rządzie, w każdej władzy widzieliśmy zawsze wrodzonego nieprzyjaciela. Nie było to naszą winą, tylko naturalnym skutkiem okoliczności, ale było naszą szkodą. Bo kto się przyzwyczai każdą władzę podejrzywać, w każdej widzieć wroga, ten dojdzie w końcu do tego, że nie potrafi znieść żadnej, nawet najlepszej, nawet najprawowitszej i zamiast narodem i społeczeństwem, stanie się gromadą niezorganizowanych jednostek, które każdy kto zechce, obróci w niewolników.

Dziś zdaje mi się, zaczynamy odbywać potrzebną a zbawienną pod tym względem kuracyę, którą jeżeli odbędziemy szczęśliwie, możemy z niej odnieść skutki błogosławione; dziś w tej części Polski zaczynamy patrzeć na zwierzchność, na władzę, na rząd, nie jako na coś obcego, narzuconego i wrogiego, ale jako na konieczność, dopełnienie i szczyt naszego własnego życia, jako na wyrób naszego własnego organizmu, naszej krwi i naszej kości.

Jeżeli tak jest, a mamy prawo sądzić że jest, to zrobiliśmy postęp niezaprzeczony w znajomości i w przestrzeganiu warunków politycznego życia. A czemu ten postęp zawdzięczyć? Temu jedynie, że od pewnego czasu mamy na czele krajowego rządu ludzi, którym wierzyć możemy i wierzymy, którzy połączeni z nami pochodzeniem, uczuciem, znajomością kraju w jego przeszłości i teraźniejszości, do poświęcenia siebie, do rzadkiego między nami poczucia obowiązku, łączą pierwszą z cnót męzkich, czystość zamiaru, i pewność słowa, na którem zawsze śmiało można polegać. Jeżeli dziś powiedzieliśmy sobie nie jedno co nam ciężyło na myśli i sercu, to to wyznanie i streszczenie naszych usposobień i przekonań nie byłoby zupełnem, gdybyśmy zapomnieli o ludziach, którzy dziś są u nas władzą i rządem, o Namiestniku i o tym świeżo mianowanym Marszałku, którego cała przeszłość jest rękojmią charakteru, a urzędowanie choć ledwo co rozpoczęte, jest już dowodem zdolności, energii i sztuki rozumnego postępowania. Na cześć i powodzenie Namiestnika i Marszałka“!

Cóż w tych słowach zdrożnego? Czyż nie milej rzeczywiście iż na czele władz stoją Potoccy i Wodziccy, aniżeli, gdyby stali Stadiony i Bachy!

Lwowski korespondent *Czasu* napisał, mówiąc o rozruchach delegacyjnych we Lwowie:

„Czyżby w istocie tak być miało? Czy już nie ma między nami nikogo, coby potępiał warcholstwo i krzykactwo? czy już tak przywykliśmy do tej codziennie w silnych dozach podawanej nam strawy pieprzowej, że zupełnie utraciliśmy zdrowy smak polityczny; czy rzeczywiście niepotrafimy odróżnić krzykactwa od prawdziwego patryotyzmu, frazesów od argumentów, negacyi od afirmacyi? Byłoby zaiste bardzo smutno, gdyby tak w istocie rzecz się miała. Lecz jesteśmy silnie przekonani, że tak nie jest. Kto najwięcej krzyczy, tego najwięcej słychać, a tem bardziej, czem więcej inni milczą.

Lecz takich jednostek niepodzielających zdań (lwowskich dzienników) jest wiele, brak tylko między niemi łączności i porozumienia, a jeśli kiedy to dziś daje się czuć pilna, *gwałtowna potrzeba zorganizowania stronnictwa konserwatywnego u nas we Lwowie, któreby w interesie sprawy publicznej stawiło raz przecież tamę rozhukanej falandze i nieograniczonemu władztwu* partyi najgłośniejszej, a przez to na razie najsilniejszej. Stronnictwo istnieje, lecz nie ma organizacyi, nie ma poczucia swej siły a z tego korzystają owe żywioły, które wodzą obecnie prym między nami, rozdają dyplomy patryotyzmu, a więcej jeszcze wyroków potępienia, słowem rządzą u nas w sposób nieograniczony, despotyczny, terroryzmem słowa i pióra, blagą i krzykiem, frazesami i sofisteryą“.

Gazeta Nar. w lot pochwyciła te słowa, i dodała do nich pompatycznie:

„Zorganizujecie się pp. czasowcy — wtedy obliczycie się i zważycie. Ujrzawszy wynik przykry we Lwowie, udacie się, dokąd się wasz korespondent nie chce udawać — udacie się na prowincyę — aby — za co wam ręczymy — z tymsamym wynikiem się spotkać. Jak Bóbrka, Rohatyn, jednogłośnie wam odpowie cała prowincja, i jak Bóg na niebie, cała ojczyzna.“

Na to odpowiemy: Hola! trochę za prędko ogłasza się *Gazeta* królową wschodniej Galicyi i narodu. Poczekajmy jeszcze trochę, a kto wie, czy jak się zliczą i uszykują ludzie konserwatywni, *Gazeta* równie tryumfować będzie jak dziś, kiedy . . . fatalizm jakiś przeszkadza porozumieniu i zjednoczeniu! Niestety.

* * *

Dziennik polski pobawił się w apostoła gorliwości i miłości na fundamencie kłamstwa. Stanął on w obronie kaznodziei „jakich mało“ — którego nigdy nie słucha, a potem w obronie staruszki wdowy, którą X. Stojałowski intrygami wyrzuca z mieszkania. *Notabene* staruszka wdowa zostaje na miejscu, ale z stanowiska prawa i szlachetności najlepiej byłby zrobił „Dziennik“ gdyby staruszkę wdowę był schronił w swojem mieszkaniu. Byłby on miłosiernym nie cudzym kosztem!

Wyraził też pragnienie *Dzienniczek*, aby odszczepieniec Jezuitów do nich się nawrócił! Któżby się był spodziewał że taki *zelus* znajdzie się w redakcyi. Ale darmo — grzesznik to tak zatwardziały, że właśnie póki *Dziennik* pragnąć będzie jego nawrócenia — on się nie nawróci!

Jeszcze rok się nie skończył, a już na horyzoncie dziennikarskiem pojawiło się nowo światło: *„Dwutygodnik polski“* Wydano go w formacie 8o. bezimiennie, bo redaktorem podpisuje się dyrektor drukarni!

Treść jego cała, dwa arkusze druku, jest wyłącznie polityczną: artykuły polityczne i korespondencye. Jest to tedy pod względem treści niestrawne monotonia. A co do zasad, to już istnie wiara babel — z której to tylko wyrozumieć można, za to mięszanina ma być antidotum przeciw „stańczykoctwa“ i „polityce delegatów“. Kto to strawi, wyborny będzie miał żołądek polityczno-społeczno-narodowo-polsko-umysłowy.

* * *

Na Szlązku konkurencyą *Gwiazdce Cieszyńskiej* chce zrobić nowe pismo: *Nowy Czas.* Nowem w niem to jedno, że ma to być polska propaganda niemieckiego patryotyzmu na Szlązku — i to właśnie przeciw temu pismu przemawia, bo zresztą sprytu redakcyi odmówić nie można, ale trudno dla jej sprytu popierać niemieckie tendencye.

* * *

Echu w Krakowie, poświęconemu literaturze, sztuce i teatrowi, pomimo uczciwych tendencyj, i wzmianki o wiecu lwowskim, przecie powiedzieć musimy, że dużo potrzeba, aby mogło zainteresować szerszą publiczność, i więcej takich rzeczy jak piękna mowa o sztuce X. J. Siemieńskiego.

* * *

Zgasła natomiast gwiazda, która miała przeświecać ludowi. Instynkt widać ludu nie chciał iść za jej światłem. *Włościanin* i *Zagroda* upadły po raz drugi. Requiescant *in pace!*

* * *

(ad) *Vaterland*, dawniej z taką zaciekłością rzucający się przy każdej sposobności na Polaków, zmienił się znacznie od dnia zgromadzenia katolików w Wiedniu w swych ku nam zapatrywaniach. Z tej też przyczyny dziękując mu, jeżeli za sprawiedliwość dzięki się należą, omawiamy zarazem bliżej te sprawy, w któtych to czasopismo szlachetnie i z taktem po naszej stanęło stronie.

Tak w num. 278 z dnia 10 paźdz. b. r., pomijając to, co w stępnym artykule pisze, t. j. jakiego to *fiaska* doznały zabiegi Midhata baszy w Wiedniu, który z innymi przyjaciółmi politycznymi wszystkich sił dokładał, by w Polsce powstanie wywołać twierdząc, że Anglia da pieniądze, Austrya wkroczy do Królestwa i inne tym podobne rzeczy; zastanowimy się nad zakończeniem tego artykułu. Wiadomo, iż Węgrzy, skoro im się ruchawka na pograniczu Siedmiogrodu nie udała, we wszystkich swych czasopismach twierdzili, iż sprawcami tego Siedmiogrodzkiego ruchu na korzyść Turcyi wywołanego, byli przeważnie i prawie jedynie Polacy. Z jakich to pobudek węgierskie dzienniki tak niegodnego chwyciły się środka, nie trudno odgadnąć. Lecz gdy wszystkie liberalne dzienniki tak austryackie jak i pruskie wiadomość tę z nietajoną radością podchwyciły przedstawiając Polaków jako rewolucyonistów których wszędzie pełno, gdzie tylko sztandar buntu zawieje *Vaterland* tylko z kilkoma umiarkowanych zasad dziennikami stanowczo i z całą grozą potępił Węgrów, piętnując takie postępowanie jako „bezwstydne kłamstwo“. Przytaczamy dosłownie ustęp odprawy danej Węgrom, który brzmi: *„Wenn heute die Ungarn sich reinzuwaschen suchen mit der Behauptung, der Siebenbürger Putsch sei durch die Polen vorbereitet worden,* so ist das eine unverschämte Lüge, *mit derer Hilfe sie hoffen, auch in Berlin den Zorn des allmächtigen Beschützers der ungarischen Herrlichkeit zu beschwichtigen“*

(C. d. n.)

Z Bibliografii.

Stanislai Górski Conciones — których tytuł powyżej w zupełności podaliśmy, nietylko zasługują na uwagę powszechną ze względu na treść swoją, godną przypomnienia w obecnej chwili, ale historycy i miłośnicy literatury szczególniejszą zwrócić powinni baczność na dziełko, które nowe światło rzuca dzieje literatury naszej. *„Conciones“* przypisywano zwyczajnie *Orzechowskiemu* i miano go za ich autora: otoż Dr. Kętrzyński opierając się na zasadach krytyki częścią z okoliczności czasu, częścią z treści samej dowodzi, że autorem concionum nie mógł być St. Orzechowski, ale tylko *Stanisław Górski*, sekretarz królewski. Ciekawa to więc i ważna praca którą duchowieństwu tem bardziej polecamy, że tekst concionum jest łaciński.

WIADOMOŚCI DYECEZYALNE.

Dyecezya Przemyska.

Ks. Julian Gąsek został administratorem plebanii w Samborze. Ks. Marcin Uzarski, pleban w Bruchnalu, został mianowany Dziekanem w dekanacie Jaworowskim. Dnia 1. Listopada b. r. umarł X. Michał Kościński, pleban w Osiecku. Uposażenie tego beneficyum obliczone na 396 zł 91 c. w. a. — Prawo prezentowania wykonuje JO. Księcia Eustachego Sanguszki. — Administratorem excurrendo cum facultate binandi został ks. Władysław Purzycki, pleban ze Załęża. — Ks. Leon Pastor, komendarz z Radymna, otrzymał tytuł: Parochus ad honores. — Ks. Jan Burda, wikary z Dobromila przeniesiony został do Jarosławia X. Marcin Korpisz, dyrygens z Przeworska, otrzymał kanoniczną instytucyę na beneficyum w Gaci, a X. Ludwig Obłoj, wikary z Jodłowy na beneficyum w Malawie. — X. Antoni Nowotarski pleban w Stanach zrezygnował z presenty na beneficyum w Pniowie. Ponowny konkurs rozpisany do 19 Grudnia 1877. X. Wincenty Ryniak, expozyt z Trześniowa otrzymał prezentę na beneficyum w Nowym Tańcu, a ks. Ignacy Kędra, pleban z Lubienka, na beneficyum w Starym Żmigrodzie. Ks. Antoni Podgórski, wikary z Czudca przeniesiony do Sanoka, ks. Jan Kokietek, wikary z Łańczy do Gorlic, a ks. Jozafat Pilawski z Gorlic do Czudca. Ks. Józef Pudło, tymc. profesor Studyum biblijnego i prawa kanonicznego na teologii i prefekt Seminaryum, ks. Feliks Biesiadzki, prow. profesor katechetyki i metodyki, katecheta szkoły wydziałowej i wikary katedralny, ks. Teofil Dzierzyński, kapelan Jaśnie Wielmożnego Najprzewielebniejszego ks. Biskupa otrzymali „expositorium canonicale“.

Z drukarni Zakł. nar. im. Ossolińskich.